

Operacja Herod

Marcin Wolski



calibre 0.9.27

MARCIN WOLSKI

Operacja "Herod"

Z "NF" 7/98

Kiedy zobaczył łódkę, była tylko małą kreseczką na tafli jeziora. Zmarszczył brwi. Któż zamierzał składać mu wizytę na odludziu? Dusza policjanta, która niezupełnie dała się przenieść na emeryturę, podpowiadała, że nieproszony gość zawsze oznacza kłopoty. Ronald Baxter odłożył wędkę i poszukał wzrokiem sztucera, z którym nie rozstawał się od paru miesięcy, kiedy to ścieżkę przeszedł mu dorodny grizzly.

Przez celownik optyczny popatrzył na wiosłującego. Brian?

Czego może chcieć od niego Brian Murphy, że pofatygował się dwa tysiące mil od Chicago? Ostatnim razem widzieli się na pogrzebie Marka, później Brian odezwał się raz z życzeniami noworocznymi. Co przygnało go teraz? Baxter zszedł na pomost i czekał. Umilkły żaby, a niebo przybrało kolor dekoracji do "Studium w szkarłacie".

Murphy zmienił się. Schudł, a z workami pod oczyma i bladą, niegoloną od paru dni twarzą wyglądał na starszego o dziesięć lat. Uścisnął Ronalda i ruszył za nim w stronę chaty z bali, rozglądając się tak, jakby obawiał się, że ktoś może ich śledzić. Wyglądał jak ktoś pilnie potrzebujący pomocy.

- Tylko nie mów chłopcze, że wpakowałeś się w tarapaty

- odezwał się Baxter, gdy już znaleźli się w środku chałupy.

Murphy potrząsnął ramionami niczym człowiek pragnący zrzucić niewidzialny ciężar.

- Nie wiem jeszcze, w co się wpakowałem - powiedział. - Ale to dłuższa historia.

- Mów, chociaż nie bardzo wiem, w czym może ci pomóc emerytowany gliniarz ze sztywnym kolanem - powiedział stary policjant, wyciągając piwo.

- Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, że śmierć Marka mogła nie być przypadkowa? - zaczął gość po pierwszym łyku.

Ronald zamyślił się. Ongiś sam głowił się nad tym miesiącami. Nigdy nie znaleziono kierowcy, który potracił

jego syna, poza tym incydent wyglądał na normalny wypadek.

Mark nie miał wrogów, był dobrym studentem i typowym molem książkowym. Nie dorobił się nawet stałej dziewczyny.

Oczywiście, Baxter rozważał możliwość zemsty jednego z kryminalistów, których posłał za kraty. Ale nie miał na to dowodów.

- Masz jakieś podejrzenia? - spytał chrapliwie. - Mark wyznał ci coś przed śmiercią?

- Nie. Jak pan wie, po pierwszym roku studiów z biologii przeniosłem się na medycynę w Michigan i nasze kontakty osłabły. Moje podejrzenia biorą się skądinąd. Dwa lata temu, w czerwcu byliśmy z Markiem na zjeździe młodych biologów w Vancouver. Kilkudziesięciu wybijających się studentów ze Stanów, Meksyku i Kanady. Zaprzyjaźniliśmy się szczególnie z trójką z nich. Dolores Mendoza z Meksyku, Tom Hill z Toronto i Bob Shimanski z Manhattan University... Po wypadku Marka pomyślałem sobie, że wypada ich zawiadomić. Ale wysłane listy wróciły do mnie. Próbowałem więc skontaktować się z nimi telefonicznie. Na próżno. Cała trójka nie żyła.

Ronald omal nie wypuścił kufla z rąk.

- Co powiedziałaś?!

- Wszystko rozegrało się ciągu trzech miesięcy. Dolores utonęła podczas wakacji w Acapulco, Tom rozbił się swoim samochodem pod Ottawą, a Bob Shimansky popełnił samobójstwo, wyskakując z dachu Trade World Center. Początkowo uznałem to za niezwykle zbieg okoliczności. Jednak coś nie dawało mi spać. Gdzieś pół roku później za pomocą Internetu zacząłem sprawdzać, czy nie zdarzyło się więcej podobnych nieszczęśliwych wypadków.

- No i?

- Rezultat przerósł najgorsze oczekiwania. W ciągu ostatniego roku tylko w USA straciło życie 58 obiecujących studentów biologii. Wypadki, samobójstwa, czasem kula zabłąkana podczas ulicznej strzelaniny, raz ukąszenie węża, parę razy przedawkowanie narkotyków przez ludzi, którzy wcześniej się nie narkotyzowali. Dwójka biologów w ogóle zaginęła bez wieści...

Ronald zapalił papierosa, widać opowiadanie robiło na nim wrażenie, a Brian kontynuował opowieść.

- Szukałem dalej, zauważając z osłupieniem, że zjawisko przypadkowych zgonów ma zasięg światowy. Znalazłem kilkanaście podobnych tragedii zarejestrowanych w Europie Zachodniej, dwa w Polsce, cztery w Moskwie. Sami biolodzy.

Cóż za przekłety fakultet?! Dla przykładu, jeśli idzie o zbiorowość studentów literatury amerykańskiej, w tym samym czasie zdarzyło się jedynie pięć zgonów i żaden nie był tak tajemniczy.

- Podzieliłeś się z kimś tymi spostrzeżeniami?

- Nie chciałem narazić się na śmieszność, a od pewnego momentu zacząłem się bać. Moje obawy wzrosły, kiedy dokonałem pewnej operacji komputerowej. Zebrałem maksimum informacji o każdym denacie i próbowałem ustalić ich cechy wspólne. - Tu na moment zawiesił głos i popatrzył na Baxtera

- Poza studiowaną biologią wiele ich różniło, rasa, płeć, pochodzenie, nawet wiek, najmłodszy był 16-letnim geniuszem, najstarszy liczącym 31 lat "wiecznym studentem". W końcu jednak znalazłem coś, co ich łączyło. Hobby! Wszyscy zmarli byli namiętnymi fanami science fiction!

Na bladej twarzy Briana pojawiły się rumieńce, coraz bardziej wciągała go ta historia. Ronald nie komentował, ale w głębi serca odczuwał smutek - najwyraźniej chłopak stracił kontakt z rzeczywistością. Murphy musiał wyczuć obawy Baxtera.

- Wiem, że moje hipotezy przypominają rojenia wariata -

rzekl. - Jednak postanowiłem sprawdzić ten trop. I znalazłem coś jeszcze dziwniejszego. Mark w dniu swej śmierci czytał książkę "Nadchodzą" Herberta Queena. Tę samą powieść zabrała ze sobą do Acapulco Dolores Mendoza. I nie ona jedna! Udało mi się też ustalić, że pierwsze wypadki wśród studentów amerykańskich zaczęły się w kwietniu, bezpośrednio po pojawieniu się powieści na rynku. W

pozostałych krajach również żaden zgon nie zdarzył się przed wydaniem książki. Postanowiłem ją przeczytać. I wówczas okazało się, że dzieło zostało kompletnie wykupione i nie mają go w żadnej bibliotece. Uwierzy pan, wszędzie egzemplarze poginęły. Zdobyłem je dopiero u prywatnego kolekcjonera.

- Mam nadzieję, że na ciebie żadna klątwa nie podziałała

- w głosie Ronalda zabrzmiała ironia.

- Powiem więcej. Pierwsze 200 stron "zabójczego arcydzieła" bardzo mnie rozczarowało. Pomysł jest mniej więcej taki: w stronę Ziemi nadciąga inwazja z kosmosu, w szeregach ludzkości działa od lat potężna, tajna armia Obcych przygotowujących teren. Flotylla inwazyjna ma przybyć za parę lat...

- Wydano już całe setki podobnych bzdur - skrzywił się Baxter.

- Toteż czytałem rzecz z rosnącym znużeniem. Aż do momentu, kiedy satelity zwiadowcze wykrywają flotyllę i na Ziemi wybucha panika. Dokonywane są akty dywersji uniemożliwiające obronę. Dla ludzi staje się jasne, że

"Obcy" są między nimi, ale nie można ich rozpoznać ani zwalczyć. I wtedy grupa młodych biologów przypadkiem odkrywa, że pewien ogólnodostępny preparat, nieszkodliwy dla Ziemi, może być zabójczy dla Obcych... Następuje zwrot w akcji, dekonspiracja, rezygnacja z inwazji.

- Nie uwierzyłeś chyba w taką bajeczkę?

- Długo nie wierzyłem, postanowiłem jednak porozumieć się z autorem książki. W tym celu zadzwoniłem do agentki literackiej Herberta Queena, panny Lizy Stein. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby przedstawić się jej jako Burt Conolly, znany krytyk z redakcji "Chicago Globe", prawdopodobnie podświadomie chciałem zostać poważniej potraktowany. Już pierwsza informacja była porażająca - Herbert Queen nie żył

od paru dni. "Wypadek?" domyśliłem się "Nie, atak serca, wspomniano o tym w wiadomościach, a więcej napisały dzienniki Zachodniego Wybrzeża. Oczywiście, jeśli idzie o twórczość pana Queena służę pełną informacją, panie redaktorze". Mimo zaskoczenia udało mi się jeszcze dowiedzieć, że amerykańska edycja "Nadchodzą" pojawiła się w marcu. W Kanadzie zainaugurowano sprzedaż w kwietniu, przekład na hiszpański pojawił się w czerwcu, podobnie było z niemieckim i polskim. W Moskwie zaczęto rozprowadzanie nakładu w lipcu. Tymczasem w sierpniu Queen nieoczekiwanie wstrzymał dalsze nakłady, twierdząc, że musi przepracować dzieło. Miał zabrać się za to późną wiosną. Nie zdążył...

Ronald nie wyglądał na przekonanego. Historia zbyt nieprawdopodobna, zbyt naciągana. Brian ma jednak argument dla sceptyka, wyciąga wczorajszą gazetę. Czarne litery nekrologu biją w oczy: "Znakomity krytyk "Chicago Globe"

Burt Conolly ginie porażony prądem podczas kąpieli".

W wieloletniej karierze policjanta Baxter spotkał się z najróżniejszymi przypadkami. Ten był absolutnie nieprawdopodobny. Jednak stary policjant nie zwykł

lekceważyć żadnych przesłanek. A te, które przedstawiał Brian, układały się w całość. A jeśli hipoteza była prawdziwa? Do diabła! Kimkolwiek byli mordercy, mogli znajdować się wszędzie. Bez trudu wykupili książkę na paru kontynentach.

Bezlitośnie likwidowali wszystkich, którzy w momencie prawdziwej inwazji mogliby poszukać w niej sposobu obrony.

Młodych, zapalonych naukowców, bez uprzedzeń, jakie żywią wobec fantastyki ich starsi koledzy. Murphy uważał, że mogło to być prewencyjne działanie przeciwnika, coś na wzór akcji Heroda przeciwko niewiniątkom. Jeśli miał rację, cały gatunek ludzki znalazł się w śmiertelnym zagrożeniu...

Dlatego też, kiedy Brian skończył opowieść i pytająco spojrzął na Ronalda, ten mruknął tylko:

- Jadę z toba, chłopcze. Przecież jeśli nawet w tej historii jest promil prawdy, nie odpuszczę

skubańcom, którzy zabili mi syna.

Skoro świt ruszyli w drogę, kierując się w stronę odległego o tysiące mil San Diego, gdzie mieściła się rezydencja Herberta Queena. Baxter wykluczył możliwość zwrócenia się do władz. Po pierwsze, nikt by im nie uwierzył, a po drugie, Obcy (jeśli w istocie oni kryli się za aferą) zdusiliby śledztwo w zarodku.

- Gdy zdobędziemy dowody, spróbujemy zainteresować sprawą media - stwierdził.

- Uważa pan, że w pojedynkę mamy jakieś szanse? - zapytał

Brian. - Nie wiemy nic o przeciwniku.

- Nawet mimo braku świadków i dowodów można wyciągać pewne wnioski. Po pierwsze, wiemy, że Obcy - skądkolwiek pochodzą - nie są wszechmocni i wszechwiedzący.

- Fakt, jeszcze żyjemy. Poza tym dość łatwo kupili wersję, że jestem Burtem Conollym i zlikwidowali jego zamiast mnie.

- Są zniszczalni, ponieważ gdyby tacy nie byli, nie zareagowaliby aż tak histerycznie na możliwość dekonspiracji. Nie są również bezcielesni ani niewidzialni.

Nie potrafią wnikać parapsychologicznie w nasze ciała. Bo przecież gdyby to potrafili, przejmowałiby kontrolę nad ciałami Ziemi zamiast ich likwidować.

- Ale dlaczego zakłada pan, że muszą przybierać ludzkie kształty?

- Kiedy spałeś, przejrzałem pliki z twego laptopa. W

żadnym z zarejestrowanych wypadków nie ma nawet wzmianki o obecności w pobliżu ofiar dziwnych istot, cyborgów czy choćby zwierząt... Owszem, świadkami katastrof czy samobójstw bywali niekiedy przechodnie, dzieci... - Tu urywa.

Prowadzący pickupa Brian spogląda na Baxtera z zaskoczeniem.

O co mu chodzi? - Cholera! Zupełnie o tym zapomniałem -

mruczy eksolina.

- O czym?

- Kiedy szukałem sprawcy śmierci Marka, zupełnie zlekceważyłem jedno z zeznań. Jakiś facet upierał się, że kwadrans przed wypadkiem widział stojący w bocznej ulicznej chevrolet, za którego kierownicą siedział dziewięciolatek.

Brian hamuje gwałtownie. I jemu przypomina się, że jedynymi świadkami śmierci Dolores w Meksyku była gromadka dzieci. Paru księgarzy o kradzież ostatnich egzemplarzy

"Nadchodzą" oskarżało właśnie niedorostków. Murphy opowiada o tym Baxterowi. Zatrzymują się przy najbliższym aparacie telefonicznym. Policjant wykręca kierunkowy Chicago. Ma szczęście, na dyżurze czuwa jego stary kumpel Jim Gross.

Ronald, sprytnie zmieniając głos, przedstawia się jako Larry Glenn z Phoenix, stary towarzysz broni jeszcze z Wietnamu.

Wprawdzie Gross ma już nieco przytępiony słuch, ale pamięć doskonałą.

Słuchaj, stary - pyta Ronald skrzekliwym głosem Glenna. -

Chodzi mi o szczegóły śmierci tego waszego dziennikarzyni Conolly'ego. Podobno utonął we własnej łazience. Mieliśmy u nas w Arizonie podobny przypadek, żona pomogła mężowi przejść na tamten świat za pomocą prądu podłączonego do wanny. Czy i u was istniała taka możliwość...?

- Nic z tych rzeczy! - zaprzecza Jim. - W mieszkaniu nie było nikogo. Po prostu Conolly siedząc w wannie, jak idiota postanowił się ogolić, nie zauważając, że przetarł się kabel golarki.

- Może ktoś jeszcze miał klucze do lokalu...?

- Odpadajko! Wszystko było zaryglowane od wewnątrz, do tego kraty w oknach, zamurowane okienka publiczne.

- Słowem, mysz by się nie prześlizgnęła?

- Mysz może tak, na strychu znalazłem maleńki świetlik, ale z trudem precyzyjnie się przez niego bardzo szczupłe dziecko.

Tego wieczora w Chicago, gdy panna Liza Stein po powrocie z zebrania feministek robiła sobie wieczornego drinka, zabrzączał dzwonek do drzwi. Musiał przybyć ktoś z sąsiadów. Portier z dołu nie anonsował żadnej wizyty.

Otworzyła. Na progu stała parka trzynastoletnich Dzieciaków.

Schludnie ubrani wyglądali sympatycznie i rezolutnie.

- Chcieliśmy porozmawiać z panią, pani Stein - powiedział

Chłopiec.

- To bardzo ważne. Dla pani - dodała Dziewczynka. -

- Nie mam czasu - odparła opryskliwie Liza, myśląc o drinku i usiłowała zamknąć drzwi. Chłopiec odepchnął ją z siłą Mike'a Tysona.

- Co robisz? - krzyknęła.

- Zamknij się, suko! - padła odpowiedź. - I siadaj na tyłku, jeśli nie chcesz, żeby naprawdę zabolalo.

Oslupiała. Co gorsza, nie mogła poruszyć ani ręką, ani nogą. Łudziła się, że to tylko koszmarny sen. Kim były te szczeniaki? Zmaterializowanymi płodami wyobraźni Queena?

- Jesteśmy dziećmi - powiedziała Dziewczynka z wyraźnym obrzydzeniem wylewając nie napoczętego drinka do zlewu. -

Dziećmi! - powtórzyła. - Tylko troszkę mądrzejszymi niż inne w naszym wieku. Jeśli będziesz współpracować, nic ci się nie stanie.

- Chodzi nam o drobiazg - dorzucił Chłopak niedbałym tonem zawodowego gangstera. - Trzeba ogłosić, że przygotowujesz nową pośmiertną wersję powieści "Już tu są" według ostatnich zapisków Herberta Queena, pod tytułem "Już nadeszli".

- O mój Boże! - jęknęła Liza, czując, że zsikała się w majtki.

Po trzech dniach jazdy non stop zatrzymali pickupa dwie przecznice od domu Herberta Queena, będącego fantazyjną krzyżówką średniowiecznego zamku z pawilonem sprzedaży hot dogów. Zmierchało się i na malowniczym zboczu opadającym w stronę oceanu i mostu Coronado rozbłyskały tysiące świateł. Ronald zalecił Brianowi pozostanie w samochodzie.

Sam zamierzał wybrać się na rekonesans. Murphy niechętnie pogodził się z rolą, ale na wszelki wypadek wyciągnął strzelbę z bagażnika.

Rezydencja pisarza sprawiała wrażenie nie zamieszkałej.

Wygazzone światła, spuszczone żaluzje, nie podlane kwiaty w ogrodzie. Szalały cykady. Baxter obszedł całą posesję i naraz doleciał go plusk wody z willi przylegającej do posiadłości pisarza. Otworzył furtkę w płotku. Dwójka malolatów pluskająca się w basenie skierowała ku niemu swój wzrok. W ich kąpieli nie byłoby nic podejrzanego, gdyby nie brak świateł w całym domu i wywieszka "Na sprzedaż" przed budynkiem. Każdy jednak może się kąpać, korzystając z nieobecności gospodarzy.

- Cześć, dzieciaki! - zagadnął Baxter, podchodząc bliżej.

- Dobry wieczór... - odparł Chłopiec, pomagając wygramolić się Dziewczynie z wody.

Kapali się nago i można było zaważyć, że proces dojrzewania jeszcze się u nich nie zaczął.

Wyglądali zdrowo, normalnie, a jednak Ronald poczuł, że jego serce gwałtownie przyspiesza.

- Nie wiecie przypadkiem, czy ktoś teraz mieszka w domu Herberta Queena? - spytał.

- Chyba nikt... A kogo pan szuka? - spojrzenie Chłopaka było czujne, świdrujące.

- Jego morderców - rzucił i natarł na nich ostro. - Czy to wasz dom? Możecie poprosić swoich rodziców... - Myślał, że przestraszy szczeniaków. Bardzo się pomylił. Naraz przeniknął go ból, ostry jak trafienie porażającą pałąką.

Zdumiony zarejestrował bezwład swych mięśni. Zachwiał się.

Widział rozszerzone źrenice dzieciaków utkwione w nim jak wyloty luf i przysięgłby, że słyszy gdzieś w głębi mózgu komendę: "Idź do basenu, do basenu..." Usłuchał jej, nie miał kontroli nad swym ciałem.

- A może najpierw go przesłuchamy? - zaproponowała półgłosem Dziewczynka.

- Przesłuchamy tego drugiego. Czuję, że jest tu gdzieś drugi - odparł Chłopiec. Impulsy atakujące mózg Ronalda wzmożyły się: "Idź do basenu, do basenu..."

- A więc tak działają... - przemknęło staremu policjantowi. Krawędź zbiornika była tuż, tuż. - Zaraz mnie utopia! Cholera, czemu nie wziąłem ze sobą Briana?

Naraz gruchnął strzał. Z góry posypało się listowie.

Dzieciaki odwróciły głowy. Na skraju tarasu pojawił się Murphy, ściskając dubeltówkę. Idiota, strzelał na postrach!

- Celuj, Brian, celuj w nich! - wrzasnął Ronald. Atoli pod ciężarem skoncentrowanego spojrzenia bachorów młody mężczyzna upuścił broń. Jednak moment odwrócenia uwagi wystarczył Baxterowi. Odzyskawszy władzę w rękach, wydobyl spluwę.

- Nie! - wrzasnęły Dzieciaki, próbując sparaliżować go powtórnie. Za późno. Uderzenie pocisku cisnęło Chłopca do basenu, który niezwłocznie zabarwił się krwią. Trafiona w udo Dziewczyna osunęła się obok trampoliny jak szmaciana lalka.

- O Boże, zabiłeś tego chłopaka! - jęknął Brian i zgięty wpół poszedł wymiotować w krzaki... Tymczasem Baxter klęknął przy Dziewczynie, usiłując zatamować krwotok.

Przeklinała go niskim głosem dobywającym się gdzieś z trzewi.

- Pieprzeni durnie! Nie macie żadnych szans! Żadnych szans.

Znów próbowała go spętać. Brakowało jej jednak sił, a kiedy narzucił jej ręcznik na twarz, cała moc się ulotniła.

Była tylko ranną, bezradnie szlochającą dziesięciolatką.

Ronald załadował ją do wozu. Wyłowione zwłoki Chłopaka umieścił w bagażniku. Czy Dziewczyna może telepatycznie ściągnąć im pościg na kark? Miał nadzieję, że nie. Gdyby łączyli się telepatycznie, czemu miałyby służyć leżące na stole telefony komórkowe? Tymczasem od strony głównej ulicy doleciało wycie syreny. Ktoś z sąsiadów wezwał policję.

Trzeba było się szybko zmywać.

Nie zatrzymali się, dopóki nie dotarli na opuszczone rancho na pograniczu Nevady, które Ronald najwyraźniej znał

z wcześniejszych eskapad. Mieli szczęście. Nikt ich nie ścigał. A przynajmniej nikt ich nie

zatrzymał. Gdy rozwidniło się nieco, Brian przystąpił do sekcji Chłopaka.

Wyniki nie były obiecujące.

- Jak to, nic nie znalazłeś? - złościł się Ronald. -

Kompletnie nic?

- Nie jestem biegłym patologiemi, tylko studentem, jednak w ciele denata nie znalazłem śladu żadnej pozaziemskiej istoty. To był normalny, dobrze odżywiony dziesięciolatek.

**Szczepiony na ospę. W dzieciństwie operowany na kolano. Krew zwyczajna, grupy O, RH+ .
W żołądku nie strawiona pizza.**

- A jego mózg?

- Również w normie. Może odrobinę większe podwzgórze odpowiadające za nerw wzroku.

Poza tym nie znalazłem żadnych guzów, zmian tkanki, obecności obcej substancji.

Jeśli jest w nim coś kosmicznego, to musi być równie nieuchwytnie jak dusza.

Ronaldowi zrobiło się nieprzyjemnie. Czyżby ulegli złudzeniu i w amoku zabili normalne dziecko? Postanowił

zajrzeć do umieszczonej w sąsiedniej izbie Dziewczynki i spróbować z nią porozmawiać.

- Niech pan mnie uwolni - pisnęła spod szmaty, którą zawiązali jej oczy. - Jestem ranna, powinnam dawno znaleźć się w szpitalu.

- Wiesz dobrze, że to niemożliwe, póki nam wszystkiego nie powiesz.

- Kiedy nic nie wiem, to Alex był inny... Ja jestem tylko jego małą bezbronną siostrzyczką.

- Nie kłam - przerwał jej. - Wiem, do czego jesteś zdolna. Od kiedy Obcy jest w tobie?

- Nie wiem, o czym pan mówi, zawsze byłem taka, jaka jestem.

- Ze zdolnościami do telepatii i z umysłem dojrzałego człowieka?

- Jestem po prostu zdolniejsza od innych ludzi -

szepnęła rozbrajająco. - Pomyliliście się.

- Z kim w takim razie kontaktowaliście się przez telefony komórkowe?

- Rodzice nam dali.

- I to jest głos waszych rodziców?

- Baxter włączył pocztę głosową. Zabrzmiał dziwny mechaniczny bas "CA 211, CA212, zgłoście się..."

Dziewczynka odwróciła się do niego plecami.

- Nic ci nie powiem!

Wnioski nasuwały się niepokojące. Jeśli 211 i 212

były numerami porządkowymi Obcych, to w samej Kalifornii musiało być ich parę setek. A w całych Stanach? A na świecie? Baxter przejrzał pamięć komórek. Ostatnie trzy rozmowy Dzieciaki odbyły z jednym jedynym numerem należącym do panny Stein. Do diabła! Czyżby agentka Herberta Queena była kosmitką...?! A może ktoś przejął kontrolę nad jej telefonem. Było to o tyle prawdopodobne, że na stronie internetowej Agencji Lizy Stein pojawił się tej nocy obszerny anons o kontynuacji powieści "Nadchodzą".

Porządkując papiery nieodżałowanego Queena, natrafiono ponoć na prawie kompletną drugą część bestsellera pod roboczym tytułem "Już tu są".

- Co mamy o tym myśleć? - spytał Brian.

Ronald odrzekł, iż jego zdaniem jest to fachowo zastawiona przynęta, na którą ktoś chce ich złapać.

Biedna Liza Stein mimo spełnienia żądań Dzieciaków nie odzyskała wolności. Daremnie próbowała się wydostać z domu.

Za każdym razem zaraz za drzwiami napotykała któreś z tych okropnych szczeniaków. A samo wejrzenie ich przeraźliwie błękitnych oczu cofało ją do środka. Próbowala je prosić, starała się być przymilną, na próżno. Jedyna odpowiedź, którą słyszała brzmiała: "Proszę z nami współpracować, a będzie pani żyć".

- A jeśli nie zechcę...?

Wlepili w nią swoje ślepie. Ubezwłasnowolniona powlokła się do kuchni. Jej ręka pozbawiona autokontroli sama powędrowała do kurków z gazem. Dzieciaki odwróciły wzrok i parsknęły śmiechem.

- Po co ma się przydarzyć jakieś nieszczęście? Prawda.

Mimo braku porozumienia z Dziewczynką samotni "obrońcy Ziemi" nie próżnowali. Baxterowi udało się porozmawiać z pewnym emerytowanym policjantem z Los Angeles, kolegą jeszcze z Akademii Policyjnej. Hugh Murdock o nic nie pytał

i zgodził się pomóc. Efektem paru rozmów było ustalenie imion Dzieciaczek. Dwunastoletnie bliźniaki nazywały się Alex i Eva Graham. Urodzili się w słynnej klinice w San Fernando w wyniku zapłodnienia in vitro. Zabiegu dokonała doktor Amy La Foret. Hugh zdołał jeszcze ustalić, że w ciągu roku pani doktor przyjęła około dwustu porodów będących efektem sztucznego zapłodnienia... Wnioski nasuwały się same.

- Chyba powinniśmy jak najszybciej porozmawiać z panią doktor - zawołał Brian.

- To będzie trudne - westchnął Ronald. - Amy La Foret nie żyje, 10 lat temu popełniła samobójstwo. Przedawkowała środki nasenne. Ale dowiedziałem się jeszcze, że zanim dotarła do Kalifornii, pracowała w Nowym Jorku, wcześniej rok w Chicago, a zaczęła praktykę w Waszyngtonie...

- Rozumiem. Powinniśmy zatem szukać niebezpiecznych jedenastoletków w dystrykcie Columbia, dwunastoletków w Illinois, a trzynastoletków w Nowym Jorku.

- Przede wszystkim Hugh musi zdobyć dla nas listę wszystkich dzieci, jakie ujrzaly świat w szpitalu San Fernando przed 10 laty.

Uzyskane informacje napelniły ich otuchą. Poznali przynajmniej cień wroga. Ronald postanowił jeszcze raz przesłuchać Evę. Nie zamierzał jej torturować. Chciał tylko podać jej odrobinę burbona... Na rozluźnienie.

Dziewczynka nie spała. Słyszac kroki Baxtera, zażądała, by ją rozwiązać i odsłonić oczy.

- Wszystko zależy od ciebie. Wypij to. - Podsunął jej kubek. Wzdrygnęła się.

- Czuję alkohol. A mnie nie wolno pić alkoholu...

- To tylko kropelka na wzmocnienie. No pij!

Podniosła wrzask, plula i kopała. Ale Ronald czuł jakąś sadystyczną przyjemność, wlewając burbona przez zaciśnięte zęby. Naraz maleństwo ryknęło basem:

- Zabiliście mnie, zabiliście...! - Drobnym ciałem wstrząsnęły konwulsje, jeszcze chwila, a znieruchomiało.

Ronald zawołał Briana i obaj próbowali reanimacji. Na próżno! Zanikł oddech, a serce nie biło. Nie pomógł masaż ani sztuczne oddychanie. Murphy był wstrząśnięty. Baxter za to promieniał.

- Chłopcze, to przełomowy moment. Być może przypadkiem odkryliśmy to, czego tak się

obawiali. Prosty środek, który nie szkodząc ludziom, ich zabija.

- Alkohol? Widać, że to musi być cywilizacja pozaziemska.

- To tłumaczy, dlaczego na swych agentów wybrali dzieci, te raczej nie piją. Bierzmy się do roboty, Brian. Musimy pochować ciała i pędzić do Kalifornii. Hugh dostarczy nam nazwiska pozostałych nastolatków, my poddamy paru z nich testowi alkoholowemu. Jeśli metoda się sprawdzi, ostrzeżemy społeczeństwo za pomocą mass mediów i oddamy się do dyspozycji władz.

Szybko uwinęli się ze wszystkim. Może za szybko! Brian zaniedbał sekcji zwłok, a gdy w półmroku zapadającego zmierzchu przysypywał piaskiem zimne ciało Evy, nie zwrócił uwagi na zaskakujące przebarwienie skóry. Nie wyczuł także powolnego, ale z każdą chwilą mocniejszego bicia serca.

Tym razem mieli pecha. Nie ujechali nawet 30 mil od farmy, gdy zatrzymał ich patrol policji. Pech okazał się podwójny. Dowódca patrolu sierżant Crebs był niewątpliwie najgłupszym policjantem na zachód od Gór Skalistych. W ogóle nie dał zatrzymanym dojść do głosu. Wyrecytował formułkę o przysługujących im prawach.

- Znam swoje prawa. Sam byłem gliniarzem, kolego - stwierdził Baxter.

- Wiem - ściał go Crebs. - Jesteście podejrzani o uprowadzenie i przetrzymywanie rodzeństwa, Alexa i Evy Graham.

Mimo protestów skuto im ręce, wrzucono do samochodu policyjnego i skierowano się wprost na miejscowy posterunek.

Ronald próbował uzyskać zgodę na zatelefonowanie z komórki do Murdocka, ale sierżant skonfiskował im oba aparaty. Należały wszak do porwanych.

- Sierżancie, proszę nas wysłuchać, tu chodzi o czas -

gorączkował się Murphy nie zważając na mitygujące gesty Baxtera. - Nie ma pan pojęcia, jakie to ważne. Czy pan wie, o co idzie gra? Kim jest przeciwnik? Nie uwierzy pan, ale te śliczne dzieciątka to w istocie osobniki o niebywałych możliwościach telepatycznych. Potrafią zmusić człowieka do samobójstwa, do składania fałszywych zeznań. Stanowią zagrożenie dla całej naszej cywilizacji jako forpoczta przyszłej inwazji.

- Aha. Małe zielone ludziki? - zaśmiał się Crebs. -

Bardziej ciekawi mnie, coście z nimi zrobili, chłopaki?

Naturalnie możecie milczeć. Wkrótce i tak się dowiemy, nasz drugi patrol natrafił już na farmę, w której się dekowaliście.

Areszt był mały, ciasny, smrodliwy. Do skontaktowania się z Hughem Murdockiem nie doszło. W osadzie tego dnia przestały działać zamiejscowe telefony. Komórki też ogłuchły. Brian czuł coraz większy niepokój. Strach wzmógł

się jeszcze, gdy ujrzał na ulicy anielsko wyglądającego chłopczyka gapiącego się w stronę ich celi. Zagadnięty strażnik wyjaśnił, że jest to Mike, syn tej starej panny Ann Greenway... Ann urodziła go, gdy miała 55 lat. Bez ojca!

To była sensacja. Ronald spojrział wymownie na Briana. Ten zagryzł usta. Po pół godzinie mogli zobaczyć, jak do Mike'a dołączył sympatyczny Murzynek, po następnych dwóch kwadransach zjawił się jeszcze jeden rówieśnik. Indagowany sierżant stwierdził, że to nietutejsi.

- A czy mógłby pan sprawdzić, czy ich nazwiska znajdują się na liście porucznika Murdocka?

Czy urodzili się w San Fernando? - prosił Ronald.

- Niczego nie będę sprawdzać, panie Baxter!

- Niech pan posłucha, a przynajmniej skojarzy fakty -

nalegał były glina. - Czy to nie podejrzane? Głuchną telefony, milkną komórki, nietutejsze dzieci okrażają areszt...

Ale Crebs nie chciał ich słuchać. Promieniał. Właśnie otrzymał meldunek, że na farmie znaleziono ciała dwojga nieletnich ofiar. Posterunkowy Greg Henderson relacjonował

mu na bieżąco przebieg akcji przez krótkofalówkę (ta jakoś działała), podczas gdy drugi z funkcjonariuszy Matt Slump zajmował się odgrzebywaniem ciał. Nie była to pierwsza ekshumacja w życiu Matta, toteż od razu zaskoczył go dziwny zapach. Nie przypominał woni rozkładu, raczej odór jakiegoś zwierzęcia.

- Chyba mamy tę dziewczynę - meldował Henderson. Naraz jego głos się zmienił. O Boże, szefie, to się rusza... Nie!

Dobiegający z drugiego planu krzyk Slumpa był

prerażający. Policjant spodziewał się trafić na zwłoki Ewy Graham, ale to, co ukazało się jego oczom... Ciało na znacznej powierzchni pokrywała łuska, a twarz, mimo że pozostały jeszcze dwa dziewczęce warkoczyki, wydłużyła się już w zębaty pysk gada.

- Przerwałeś mi sen, człowieku - zaryczał potwór ludzkim głosem.

Henderson rzucił się do ucieczki. Gonił go rozpaczliwy wrzask Slumpa i przerażające mlaśnięcia. Kryjąc się za samochodem, otworzył ogień. Ale kule najwyraźniej nie mogły zaszkodzić bestii. Zbliżała się. Wskoczył do wozu.

Desperacko piłował rozrusznik. Motor krztusił się i gasł...

W ostatniej chwili ruszył. Kiedy Greg odważył się spojrzeć w lusterko, zobaczył za sobą jedynie tuman kurzu.

Na posterunku Murphy i Baxter obserwowali miotającego się sierżanta. Najpierw wściekłego, potem coraz bardziej przerażonego, próbującego wezwać pomoc, ściągnąć posiłki.

- Cholera! - wrzasnął wreszcie do aresztantów - kogoście tam zakopali? Greg mówił, że to półczłowiek półpotwór, i w dodatku rosnący w oczach. Pożarł mojego najlepszego funkcjonariusza, zagraża drugiemu. Co to znaczy? Mówcie! -

ciężko dysząc oparł się o kratę.

- Nie mam pojęcia - odparł Ronald. - Kiedy odjeżdżaliśmy, Eva nie żyła.

- Widocznie tylko nam się wydawało - nagła myśl wpadła do głowy Brianowi. - A jeśli alkohol wcale ich nie zabija?

Tylko usypia. I uruchamia mechanizm przemiany. Uaktywnia uspięne chromosomy. Przyspiesza metabolizm. W efekcie ludzie nosiciele Obcych przeobrażają się w dorosłą postać właściwą?

- O czym wy mówicie. O inwazji jaszczurów? - przerywa wywód Crebs.

- Być może odkryliśmy ich plan na "godzinę zero". W

odpowiednim momencie każdy z Dzieciaków miał chlapnąć lufę i ujawnić się jako kosmiczny gad. A myśmy niechcący przyspieszyli ten proces.

- Nic nie rozumiem! - belkocze sierżant. - Mówcie lepiej, czym się zwalcza takie cholerstwo, gazem, ogniem? Tam są moi ludzie. Potwornie przerażeni... A wam co?

Fala lęku dotarła i do aresztowanych. Poczuli ją równocześnie. Nie zwiastowała jednak zbliżania się potwora.

To nadchodziły Dzieciaki. Na zewnątrz zgromadziła się już co najmniej dziesiątka. Mimo grubych murów Brian i Ronald czuli hipnotyczny pierścień zaciskający się wokół ich głów.

- Sierzancie, proszę odsunąć się od okna, otworzyć celę i dać nam broń! - wrzasnął Ronald. - Albo wszyscy zginiemy!

Ale Crebs niezdolny do jakiegokolwiek działania zachowywał się jak pijany. Zataczając się, zrobił dwa kroki i nieprzytomny runął na podłogę. Z oczu, uszu i nosa płynęła mu krew. Ronald nie tracił czasu, przypadł do ziemi, wysunął rękę przez kratę i dotarł do kluczy. Po chwili cela stała otworem, miał broń. Wręczył strzelbę Murphy'emu. Ten drżał cały. Ronald odbezpieczył broń, zaraz szczęknął też zamek dubeltówki. Naraz uświadomił sobie, że obaj z Murphym mierzą do siebie. Próbował odchylić rękę... Choć o cal. Nic.

Palce same zacisnęły się na spustach...

Naraz z zewnątrz rozległo się wycie wozu policyjnego.

Wracał Henderson. Może z posiłkami? Krąg hipnotyczny raptownie osłabł. Dziesiątka dzieciaków rozglądała się niepewnie po ulicy. Brian i Ronald dopadli okien. Musieli działać natychmiast. Otworzyli ogień. Coś krzyczało w Brianie:

- A jeśli to wszystko złudzenie, pomyłka, błąd? Jeśli małolaty są niewinne?

W masakrze zginęło dziesięcioro dzieci i jeden z policjantów, usiłujący przeciwstawić się strzelaninie. Potem Brian i Ronald złożyli broń. Policjanci i przybyli wkrótce funkcjonariusze FBI z trudem zapobiegli ich linczowi przez wzburzonych mieszkańców. Prasę poinformowano o grupce szaleńców, którzy po dokonaniu rzezi zniknęli. Co naprawdę stało się z Baxterem, Murphym i Hughiem Murdockiem, trudno dociec. Ich rodziny do tej pory nie otrzymały z Waszyngtonu żadnych wiadomości. Tymczasem w ciągu następnego roku na całym świecie zmarło na tajemniczą dziecięcą tężyczkę około 7 tysięcy Dzieciaków. Dziwnym trafem wszystkie urodziły się wskutek zapłodnienia in vitro. Światowa Organizacja Zdrowia nadzorowała zabieranie ciał do badań na pewną bezludną wyspę u wybrzeży Brazylii. Później szerzyły się pogłoski o pojawieniu się na niej ogromnej liczby martwych jaszczurów.

Ale jaka jest prawda i czy ma ona związek z gwałtownym wzrostem spożycia alkoholu, nawet w świecie wojującego islamu? Kto to wie? Może tylko autorzy science fiction należący do stajni Lizy Stein. Ale i oni w tej sprawie trzymają gęby na kłódkę.

Marcin Wolski MARCIN WOLSKI

Urodził się w 1947 r. w Łodzi. Historyk z wykształcenia, Nadredaktor z powołania. Poeta, radiowiec, autor telewizyjny, satyryk i prozaik, uprawiający też fantastykę; z dobrym skutkiem, bo w sposób nie wymuszony, nie gettowy.

Polega to w jego wykonaniu na inteligentnej zabawie z czytelnikiem - łączeniu elementów klasycznej SF z kryminałem, dreszczowcem, horrorem, baśnią, groteską, aluzyjnym politycznym kabaretem.

Twórca legendarnego radiowego magazynu "60 minut na godzinę" (po stanie wojennym aż do wybuchu wolności zamienionym na objazdowy "Tysiąc metrów na kilometr"); telekabaretów - "Polskie zoo" i "Akropoland" - oraz noworocznych szopek politycznych; prowadzi rubrykę satyry w

"Życiu" ("Wolski w Kropce"). Autor kilkuset słuchowisk, niektóre z nich (jak tym razem)

przerabiał na prozę i puszczał w "F" i "NF". Spośród dwudziestki jego książek z dziedziny szeroko rozumianej fantastyki najważniejsze to

"Laboratorium nr 8", "Neomatriarchat", "Świnka", (sfilmowana przez Krzysztofa Magowskiego), "Numer", "Agent Dołu" (książka kultowa, wznowiono niedawno z uzupełnieniem "Diabelska dogrywka"), "Bogowie jak ludzie", "Antybaśnie", "Krawędź snu". U nas opublikował: "Zdziwiający przypadek fascynacji"

("F" 3/83), "Wariant autorski" ("F" 5/85), "Telefon zaufania" ("F" 4/89), "Omdlenie" ("NF" 8/92, przedruk w antologii X-lecia "F" i "NF" - "Co większe muchy"), "Na żywo" ("NF" 12/94).

(mp)

Spis treści

[Rozpocznij](#)